

Hałas w duszy.

Jednostajny szum silnika działał uspokajająco i usypiająco..

Droga w świetle reflektorów umykała pod maskę mojej Toyoty, która z rozkosznym mručeniem diesla połykała kolejne kilometry.

Spojrzałem na GPS przyklejony do szyby – jeszcze 211 kilometrów do domu. Jakies trzy godziny –pomyślałem dodając sobie otuchy.

Pomyślałem o Marku Kamińskim który w jednym z wywiadów zapytany czy podczas swoich samotnych pieszych wędrówek nie czuł się samotny odparł – Nie , nie byłem samotny chociaż byłem sam. Ale kiedy człowiek żyje w zgodzie z samym sobą dobrze się czuje w swoim towarzystwie.

Zaiste kiedy przemierza się pieszo setki kilometrów w śnieżycy i mrozie na dalekiej północy istotny jest każdy zakamarek duszy który może dodać sił. Podziwiałem tego człowieka za jego filozofię i podejście do życia.

Powieki znowu niebezpiecznie zapragnęły się zamknąć i dostarczyć mojemu organizmowi snu którego tak bardzo potrzebowałem. Zmusiłem się siłą woli do ich otwarcia i kątem oka dostrzegłem cień na śniegu który w błyskawicznym tempie zbliżał się z prawej strony drogi , chcąc przeciąć mój kierunek jazdy. Prawa noga instynktownie wcisnęła hamulec , maska zanurkowała na dół a tył samochodu zaczął lekko ściągać w kierunku rowu. Przez asfalt lekkim , wyluzowanym klusem przebiegł puszysty lis błyskając świecami oczu w moim kierunku. Wyprowadziłem auto lekkim ruchem kierownicy z niebezpiecznego tańca i zredukowałem bieg. Minąłem kolejny zakręt i dopiero wtedy odetchnąłem głębiej, głaskając czule obszytą skórą kierownicę. Moja służbowa córka samurajów znowu wyniosła mnie obronną ręką z opresji. Uświadomiłem sobie że jest piątek , godzina 18,25 i jutro sobota. Będę mógł wyskoczyć do lasu i znowu zapolować. Czas się przestawić na tryb weekendowy i na chwilę zapomnieć o korporacyjnej rzeczywistości...

Weekend przyniósł obiecywaną przez meteorologów zmianę pogody . Po niemal dwóch tygodniach mrozów gdzie słupek rtęci spadał w nocy po niżej 25stopni sobota wstała pochmurna choć jeszcze mroźna. Widać było że przyroda szykuje zmianę. Po południu namówiłem ojca i ruszyliśmy do lasu. W odstrzale miałem cały przedział jeleni od cielaka do byka selekta , dziki i lisy. Marzył mi się byk , ponieważ od trzech lat nie spotkałem właściwego , godnego mojej kuli.

Ojciec prowadził mojego Hiluksa ja siedziałem z boku trzymając dryling Hubertus 16/16 – 8x57IR. Właśnie zjeżdżaliśmy z asfaltu na leśny dukt kiedy ojciec nieoczekiwanie zatrzymał samochód i nim się zorientowałem podszedł do kobiety stojącej przy drodze.

No pięknie , czas płynie , zmrok za pasem a mój ojciec psia krew sobie randki urządza! Napięcie powoli podnosiło ciśnienie mojej krwi wraz z upływającym czasem który spędzał ojciec na konwersacji z napotkaną przypadkiem kobietą. Wychyliłem się przez okno samochodu obrzucając wzrokiem okolicę. Znałem bardzo dobrze to miejsce. Dom z drewna i kamienia oddalony od wioski o około dwa kilometry , przytulony do lasu ,

gdzie budująca się cywilizacja niczym ostrzem noża oddzieliła podwórko od kniei bliźną szosy. Ojciec nie jeden raz opowiadał iż jako nastolatek biegał do lasu z nieżyjącym już wujkiem z owego domu po drzewo aby upiec chleb. Drewno musiało być świerkowe gdyż ciotka umiała piec chleb tylko w takim drewnie. W innym się przypalał... Kobieta podeszła z ojcem do samochodu i wtedy dopiero poznałem że to owa ciotka, żona myśliwego z naszego koła który zmarł kilka lat temu.

- Jarek, jak Ty się zmieniłeś! Siwych włosów Ci przybyło (ciekawe jak zauważyła, byłem w kapeluszu..) i jakoś tak zmarniałeś na twarzy – powiedziała ciepło na mój widok.

- Widzisz ciociu , praca ,praca , i tylko praca. To i człowiek tak wygląda – odparłem.

- A co chcesz upolować? – zapytała.

- Wyjechaliśmy na jelenie , ciągle nam jednego byka brakuje w planie, ale już późno to i pewnie się nie uda – powiedziałem zrezygnowanym tonem.

Pogłaskała mnie matczynym gestem po policzku i powiedziała – jeleni nie zając , nie ucieknie . Jak ma być Twój to będzie.

Zaczerwieniłem się ze wstydu na myśl o złości jaką do niej poczułem za zmarnowany czas.

Ojciec wsiadł za kierownicę i zapalił silnik. Nic nie mówiłem , choć byłem na niego wściekły. Co mnie obchodziła jakaś ciotka spod lasu...? Chciałem polować , strzelać! A nie być miły i być traktowany jak dzieciak!

Hiluks ruszył leśnym duktem i to była najlepsza kolej rzeczy jaka mogła się wydarzyć w tej chwili. Siedziałem naburmuszony obok ojca i patrzyłem w okno na mijane oddziały. Ojciec nic nie mówił – jak zwykle z resztą , wyczuwając pewnie że jestem wściekły. Wreszcie wyduślił z siebie

- Ciotka powiedziała że nie rozmawiała z nikim od dwóch tygodni. Popatrz jaki to los człowieka. Powiedziała że na pewno coś dzisiaj upolujemy , bo pogoda jest dobra.

Jasne , odpowiedziałem sobie w myślach zachowując milczenie. Na pewno coś ujrzymy jak już prawie ciemno w lesie , a zmarudziliśmy z pół godziny.

Ojciec czując moją złość i znosząc uporczywe milczenie gwałtownie skręcił w prawo w wąski dukt prowadzący do nasypu kolejowego. Za chwilę auto z mozołem wdrapywało się pod usypany wał na którego szczycie biegły tory.

Zatrzymaj – powiedziałem cicho do ojca.

Auto zatrzymało się stukając ABS-em na śliskiej drodze.

- Pojedziesz na ambonę na Trawnikach. Tam jest szansa na lisa i dzika.

Ojciec nic nie odpowiedział skinąwszy głową.

Wysiadłem zabierając potrójny pastorał i lornetkę Zeissa.

Hilux potoczył się dalej z uspokajającym pomrukiem silnika, a ja pozostałem sam w uspokajającej ciszy lasu otulonego kołdrą śniegu.

Naciągnąłem kaptur białej , maskującej kurtki na kapelusz i poszedłem duktem obserwując tropy odcisnięte na śniegu.

Starąłem się nie słyszeć swoich kroków ale było trudno...śnieg który odwilgł w ciągu dnia teraz zaczynał przymarzać i wydawał charakterystyczny zgrzyt. Przypomniało mi

się staropolskie myśliwskie porzekadło „ Jak pod nogami chrupie to zwierz ma myśliwego ...w wielkim poważaniu” , dodałem od siebie .

Ale cóż , inne porzekadło mówiło że dla myśliwego pogoda jest dobra , albo bardzo dobra. Dla mnie dziś była bardzo dobra!

Powoli szedłem wpatrzony w otaczający mnie bajkowy krajobraz. Sosny nałożyły czapy ze śniegu i śmiały się do nieba oferującego coraz niższą temperaturę. Za to świerki

nie przyjmujące zbyt dużo śniegu oferowały zwierzyńie schronienie w zaciszu swoich gałęzi które sięgające ziemi tworzyły fortece nie do zdobycia. I właśnie w okolicy ogromnego świerka w pewnym momencie dostrzegłem sylwetkę jelenia. W pierwszej chwili nie byłem pewien , ale z braku jakiegokolwiek innej osłony położyłem się na dukcie wystawiając lufy mojego drylinga na wał osypany przez pług odśnieżający leśne drogi. Spojrzałem przez lunetę.

Stał tam!

Był schowany za krzewem wierzby która porastała pogranicze nasypu kolejowego.

Widziałem wyraźnie cztery badyle i część korpusu . Niestety nie widziałem wieńca ukrytego w gęstwinie krzewu. Niewielka grzywa na karku świadczyła o młodym wieku byka – ale kto wie..?Może to upragniony selekt..?

Krzyż lunety spokojnie spoczywał na komorze byka i tylko delikatne ruchy na bok świadczyły o biciu mojego serca. Tyk, tyk , tyk, skakał krzyż lunety , a jelen stał jak zaczarowany i ani myślał się ruszyć.

Zacząłem po woli odczuwać jak śnieg roztopiony pod wpływem ciepła mojego ciała przemienia się w wodę która zimnym dotykiem przenika przez moje ubranie na piersiach i brzuchu. Leżałem na zimnym i mokrym podłożu już dobre dziesięć minut i modliłem się aby byk w końcu się ruszył.

W oddali huknął strzał. Ott, moje modlitw został wysłuchane.

Byk zaczął zdradzać pewną nerwowość. Przekreślił się w lewo i nasłuchiwał. W pewnym momencie ruszył wdrapując się na nasyp kolejowy.

W tej samej chwili naciągnąłem przyspiesznik spokojnie nasuwając krzyż celownika na komorę.

W szerokokątnej lunecie dostrzegłem również poroże byka. Był to klasyczny ósmak , przyszłościowy i na pewno nie do odstrzału.

Zerwałem się na równe nogi widząc jak byk niknie po drugiej stronie nasypu.

Byłem zdenerwowany i zrezygnowany. Wieczór rozpościerał swoje macki nad knieją , ja zły i mokry wciąż liczyłem na cud Św. Huberta...

Otrzepełem śnieg ze spodni który jeszcze nie zdążył stopnieć. Czulem jak woda z roztopionego śniegu zdobywa kolejne partie mojego ubrania. No cóż, życie. Swoje trzeba przecierpieć – tłumaczyłem sobie maszerując do odległej o około dwa kilometry ambony na której zasiadł ojciec.

Znowu mijalem szkółki i młodniki . Starodrzewie zmuszało do szacunku przyrody a młodniki do wytężonej uwagi w wypatrywaniu zwierzka.

Wyszedłem na ogromną uprawę i podpierając się pastorałem wciągałem nogi aby zdążyć przed zmrokiem. Dukt prowadził skrajem dwuletniego młodnika który graniczył z trzydziestoletnim borem sosnowym.

W pewnym momencie dostrzegłem jelenie żerujące na skraju zagajnika , jakieś siedemdziesiąt metrów ode mnie. Przywarłem do grubej olchy.

Już czas działać – pomyślałem.

Wychyliłem się powoli z za drzewa przykładając do oczu lornetkę Zeissa.

Jakieś siedemdziesiąt, dziewięćdziesiąt metrów ode mnie kończył się wysoki sosnowy las i zaczynał gęsty młodnik. Na granicy tych dwóch wiekowo różnych drzewostanów żerowała chmara jeleni. W dziesięciokrotnym przybliżeniu dostrzegłem kilka łań i kilka cieląt.

Nie zgadnę która to lania bez cielaka – pomyślałem.

Odłożyłem lornetkę od oczu i w tym samym niemal momencie dostrzegłem jak byk patrzy na mnie zza wielkiego krzewu jałowca.

- Cholera , jak mogłem go nie zauważyć !!! pomyślałem przykładając dryling do ramienia i szukając byka. Niestety , już go nie było.

Kiedy spojrzałem znad lunety zobaczyłem tylko zad i tylne biegi kiedy wskakiwał do młodnika. W tym samym momencie cała chmara zaalarmowana gwałtowną ucieczką byka ruszyła niespiesznym klusem wzdłuż drogi.

Nic nie będzie z dzisiejszego polowania – pomyślałem opuszczając broń.

Nic tylko ta przekłeta ciotka wszystko popsula... myślałem stropiony gramoląc się przez rów i wychodząc na drogę którą pojechał ojciec.

Uszedłem jakieś sto metrów kiedy dostrzegłem ścieżkę z prawej strony wygniecioną przez drwali którzy przetrzebiali ten oddział.

- Może wejść ...pomyślałem. A nóż jeszcze nie wszystko stracone , a przecież chmara nie poszła zbyt spłoszona.

Jak pomyślałem tak zrobiłem. Nim uszedłem wąską ścieżką pięćdziesiąt metrów w głąb oddziału usłyszałem łamane gałązki i pierwsza lania licówka przeszła moją ścieżkę około sześćdziesięciu metrów przede mną. Dopadłem do grubej olszyny i przytulony do jej szorstkiego pnia ustawiłem potrójny pastorał.

Oparłem na nim czólenko drylinga opierając się jednocześnie lewym ramieniem o drzewo. To była wymarzona pozycja strzelecka...

Patrząc przez lunetę obserwowałem przechodzące przez bardzo wąską ścieżkę jelenie. Jeden, dwa, trzy , cztery, pięć, sześć... ile ich jeszcze będzie?

Wiedziałem że byk będzie szedł ostatni i będę miał najwyżej trzy sekundy na decyzję i strzał.

Doliczyłem do dwudziestu dziewięciu kiedy na ścieżkę wysunął się byk.

Odległość nie była znaczna , od razu w lunecie zauważyłem że to selekcyjny nieregularny i nie koronny dziesiątak. Ot , takie tam lichactwo jak mówił mój ojciec. Spojrzał w moim kierunku , odwrócił łeb w kierunku odejścia łań i dał krok do przodu. Wtedy huknął strzał i poczułem odrzut broni na ramieniu jednocześnie słysząc uderzenie kuli o tuszę.

Wiedziałem już że jest źle. Byk wykonał krok do przodu w momencie strzału , a więc kula trafiła na miękkie...

Trzask łamanych gałęzi wieścił ucieczkę chmary w knieję. Powoli osunąłem się na śnieg próbując opanować bijące jak szalone serce. Plecami oparty o olszynę patrzyłem w niebo zaciągające się czarnymi , śniegowymi chmurami zastanawiałem się co robić. Byłem na siebie wściekły. Trzeba było nie strzelać , co mnie podkusiło , robiłem sobie wyrzuty. Emocje powoli opadały i do głowy nasunęła mi się pewna refleksja...

Przecież to dzięki ciotce spotkaliśmy te jelenie , gdyby ojciec się nie zagadał na drodze pewnie pojechalibyśmy inną drogą lub byli byśmy tutaj zbyt wcześnie.

A ja nic tylko zły i wściekły. Na siebie , na ojca , na ciotkę i może jeszcze na pogodę! Uświadomiłem sobie że przez to całe nowoczesne życie, telefony, maile jestem głuchy i ślepy. Na piękno przyrody , na to co ludzie do mnie mówią i nawet na to co podpowiada mi serce.

Przypomniało mi się powiedzenie starych górali „Niektórzy ludzie mają hałas w duszy i nie słyszą świata ani Boga”. Ja niestety do nich dzisiaj należałem!

No nic , trzeba mi iść na zestrzał , spojrzałem na zegarek – minęło dziesięć minut od strzału.

Powoli zbliżałem się do wydeptanej przez jelenie transzei w śniegu. Ocena tropów i wysupłanie z płataniny odcisków racic tego jednego tropu byka zajęła mi około kwadransa. W międzyczasie nadjechał ojciec który usłyszał strzał na ambonie nadjechał najszybciej jak mógł.

- Jest źle –powiedziałem do ojca spuszczać głowę. Trafilem byka na miękkie , odłączył się od chmary i poszedł do oddziału Patyki. Poszedłem za nim trzysta metrów, jest ciemna farba . Myślę że należy nam jechać do domu i jutro o świcie poszukać z Alim.

- Pies nie potrzebny jest śnieg – skwitował sucho ojciec.

Popatrzyłem znacząco na niebo.

Zerwał się porywisty wiatr który niósł ze sobą mokry śnieg wirujący w powietrzu niczym płatki w szklanej kuli którą kiedyś dostałem na święta.

Tworzyła się namiastka syberyjskiej purgi opisywanej w mojej ulubionej książce pod tytułem Dersu Uzala.

Wracaliśmy do domu w milczeniu. Chyba obaj modliliśmy się do Św. Huberta aby śnieg przestał padać. Nie przestawał .

Na pace jechał lis strzelony przez ojca. W łeb ze stu osiemdziesięciu metrów...

A ja byka nie umiałem trafić na komorę z siedemdziesięciu kroków....

Spałem niewiele. Wciąż się budziłem i nie mogłem zasnąć. Tylko moja żona milcząco dyplomatycznie czułym dotykiem odganiała złe myśli. Jamnik pochrapywał w leżance obok łóżka a Ali nerwowo dreptał w kojcu co chwile wchodząc i wychodząc z budy.

Słyszałem wszystko w ciszy nocy która spowijała dom.

Była druga nad ranem kiedy znów się przebudziłem i chyba już następnym razem podszedłem do okna. Śnieg nie padał , ale na dachu Hiluksa było usypane dobre dziesięć centymetrów mokrego puchu. Temperatura dodatnia, odwilż.

Jeszcze cztery godziny do świtu. Jak zaczarować sen...?

Zastosowałem sztuczkę z dzieciństwa – położyłem poduszkę w nogach i nakryłem się kołdrą. Zbudziłem się przed włączeniem budzika i zerwałem na równe nogi. Szybko się ubrałem zabierając niezbędny ekwipunek. Wyjąłem z szafki mój krótki sztucer w systemie lever action w kalibrze 44Mag. Zabierałem go zawsze na okoliczność poszukiwania postrzałka.

Siadłem za kierownicę i zapaliłem silnik. Ali na pace już się układał moszcząc sobie miejsce na przygotowanym dla saren sianie. Nieodłączny ojciec z boku.

Droga minęła szybko . Zostawiliśmy samochód opodal tropu wejściowego który wczoraj pieczołowicie zaznaczyłem i wróciłem z psem. Ojca wraz z kuzynem który właśnie nadjechał wysłałem na przeciwległą ścianę oddziału gdzie wszedł jelen na wypadek gdyby się podniósł. Towarzyszył mi kandydat na myśliwego odbywający starz pod moim okiem ,który skoro świt przyjechał z Łodzi aby zobaczyć jak wygląda prawdziwe tropienie.

Kiedy podłożyłem Alego na trop ledwo widoczny po śniegiem pies natychmiast ruszył naciągając skórzany otok. Zaczęło się.

Szliśmy dość wysoką drągowiną która łagodnie opadała w dół . Szło się łatwo i komfortowo. Pies szedł nerwowo i bardzo ciągnął . Doszliśmy do gęstych wiklin porastających podmokły teren. Teraz zaczęła się mordęga . Otok raz za razem plątał się w gęstych krzakach. Posokowiec kluczył i zawracał a mokry śnieg sypał się za kołnierze. Posuwaliśmy się bardzo powoli do przodu. Wiklina momentami była tak gęsta iż musieliśmy sięczołgać.

Drogę przegrodził nam szeroki lecz niezbyt głęboki rów z wodą która płynęła z pobliskich torfowisk i nigdy nie zamarzała. Ali zbliżył się do wody i rozejrzał w lewo i w prawo. Tropu nie było widać. Zgubiłem go jakieś trzysta metrów wcześniej zdając się całkowicie na psa. Czworonożny przyjaciel wszedł do lodowatej wody która sięgała mu do połowy brzucha i obwąchując zwisające nad wodą gałęzie posuwał się na wschód. Szedłem brzegiem ściskając otok . Przeszliśmy około dwustu metrów rowem i Ali wyszedł na przeciwległy brzeg otrzepując wodę z sierści. Ruszyłem za nim. Doszliśmy do ogromnej kępy jeżyn o powierzchni kilkudziesięciu metrów kwadratowych. Rośliny o ostrych kolcach boleśnie kwały przez grube spodnie i raniły dłonie. Ali znowu kręcił się w kółko. W pewnym momencie ujadając ruszył pod dużego świerka . Przerępetowałem sztucer przykładając go do ramienia. Ogromna fontanna śniegu i błota wytrysnęła z pod drzewa . Muszka na komorę , palec przytulony do spustu...

Ogromny odyniec kłapiąc orężem oddalał się wielkimi susami. Opuściłem broń i w ostatniej chwili schwyciłem przesuwany opodal otok ciągnięty przez psa. Ali zarył kufą w śnieg kiedy taśma nagle się skończyła i ujadając szarpał się na uwięzi. Powoli go uspokajałam głaskając po karku.

Spojrzałem na kandydata. Był , podobnie jak ja cały mokry od śniegu i potu który ściekał z naszych rozpalonych głów strumieniami. Dzielnie to znosił nie narzekając. Będą z niego ludzie –pomyślałem.

Zacząłem wracać po swoich śladach do rowu aby znów podłożyć psa. Ale posokowiec podniósł zaśnieżoną kufę w górę i poprowadził górnym wiatrem w prawo do zgłębienia

**po wydobytych torfie. Kiedy podszedłem zobaczyłem wystającą , nie koronną tykę
mojego byka. Ali głosił basem odnalezienie postrzałka....
Wzruszony uściskałem mojego czworonożnego pomocnika z całej siły. Warczał i
wrywał się do zwierza ale nie pozwoliłem go szarpać. Należał mu się szacunek.
Cierpiał tak długo tylko przez moją niestaranność i pośpiech. Przez hałas w duszy....
Na jutro zaprosiłem ciotkę na kolację do restauracji. Opowieścią myśliwskim nie
było końca , a ja wciąż myślałem o małym domu z drewna i kamienia przytulonym do
kniei...**

Jarosław Pelka

Członek Klubu Posokowca ISHV